



IDA FINK

PODRÓŻ

FINK MOBILIZUJE W SWYCH CZYTELNIKACH
MIŁOŚĆ ŻYCIA, BY POMÓC IM ZROZUMIEĆ ISTOTĘ GWALTU,
JAKIM JEST NIENAWIŚĆ.

PIOTR ŚLIWIŃSKI „TYGODNIK PWSZECHNY”

IDA FINK

urodziła się w Zbarażu w 1921 roku, zmarła w 2011 w Tel Awiwie. W 1942 roku uciekła z getta i ukrywała się do końca wojny. W Izraelu mieszkała od 1957 roku. Oprócz *Podróży*, wydanej po raz pierwszy w 1990, opublikowała m.in. zbiory opowiadań *Skrawek czasu* (1976) i *Ślady* (1996). W 2003 roku nakładem W.A.B. ukazał się tom jej opowiadań zebranych *Odplywający ogród*, zaś w 2009 – wybór pt. *Wiosna 1941*. Otrzymała nagrodę im. Anny Frank, nagrodę Buchmanna przyznawaną przez Instytut Yad Vashem, a także Premio Moravia i Sapi Prize. Jej nazwisko znalazło się na ogłoszonej przez National Jewish Book Center w Nowym Jorku liście stu najważniejszych autorów żydowskich. W 2003 roku uhonorowano ją Nagrodą Specjalną Polskiego PEN Clubu. Na podstawie *Podróży* w 2002 roku powstał film *Ostatnia kryjówka* w reżyserii Pierre'a Koralnika.

IDA FINK

PODRÓŻ

Copyright © 1990 by Ida Fink
First published by Aneks Publishers London 1990
Republished by Wydawnictwo W.A.B. Warszawa 2004
Wydanie III
Warszawa 2012

Dla Miri i Heleny

I

Stojąc w oknie, pomyślała: niech spadnie gwiazda. Była przesądna, wszyscy wtedy byli przesądni, każdy na swój własny, sobie tylko znany sposób. Miała spory zapas własnych zabobonów, ale gwiazd spadających w nim nie było – był to przesąd romantyczny, zbyt trudny do spełnienia. A jednak tego wieczoru pomyślała: niech spadnie gwiazda, choć była już późna jesień, a gwiazdy – jak wiadomo – spadają tylko latem. Mimo to uparcie patrzyła w niebo i w pewnej chwili ujrziała na horyzoncie błysk, który zaraz zgasł – to ktoś nieostrożny zapalił w domu światło, nie zasłoniwszy uprzednio okna. Ten błysk w ciemności nie był, lecz mógł być gwiazdą, na którą czekała, i znak ten wzięła za dobry omen.

W walizce przygotowanej na drogę leżała podkowa, a właściwie tylko połówka podkowy, co według wierzeń niweczy skuteczność jej działania. Nie zraziło jej to. Znalazła tę złamaną podkowę w chwili, gdy ojciec wskazywał jej drogę do chaty chłopskiej, w której miała wraz z siostrą przenocować. To wystarczyło. Uwierzyła w połówkę podkowy i w umowną gwiazdę.

Tą późną jesienią panowała w getcie martwa cisza. Wąskie, strome uliczki najuboższej części miasta, brukowane kocimi łbami, świeciły za dnia pustką i dopiero pod wieczór rozbrzmiewały zmęczonym krokiem wracających z pracy w kamieniołomach. Liczba powracających na noc do getta zmniejszała się gwałtownie i wszyscy zdawali sobie sprawę, że następny transport – karawana aut ciężarowych, które

opuszczą plac przed łaźnią – będzie liczebnie najmniejszy i zarazem ostatni. Było już późno, należało się spieszyć. Można więc rzec, że papiery nadeszły w ostatniej chwili, wtedy gdy po miesiącach czekania straciły nadzieję, że je otrzymają.

Wieczorem wykradły się z ojcem z getta. Czekali w zaułku klasztornym, dzielącym miasteczko na dwa światy. Grube pnie kasztanów służyły im za ochronę. Zaufana osoba, która przywiozła papiery, wręczyła im jedną kenkartę i dwie nowiutkie metryki, pachnące świeżym drukiem. – A druga kenkarta? Dla młodszej córki? – wykrzyknął ojciec. Zaufana osoba wytłumaczyła, że na fotografii Elżbiety nie widać było – tak jak żądają władze – lewego ucha i to zaważyło na losach dokumentu, który bez uwidocznienia w należyty sposób lewego narządu słuchu wzbudziłby podejrzenia. – Lepiej nie mieć kenkarty niż mieć ją sfalszowaną w partacki sposób – dodała. To brzmiało rozsądnie, ale było w najwyższym stopniu niepokojące. Elżbieta miała ciemne włosy i śniadą cerę. Dawniej mówiono, że jest podobna do Włoszki.

Nie wiedzieli, co odpowiedzieć zaufanej osobie, która ponadto stwierdziła, że zdobycie dokumentów wymagało nie tylko wielkiej sumy pieniędzy i długiego czasu, ale też wiele trudu i odwagi, oraz że należy być zadowolonym z tego, co się otrzymało.

W klasztorze odezwał się dzwonek wzywający na wieczorną modlitwę. Ten cienki, srebrzysty dzwonek był im dobrze znany – słyszeli go dawniej co wieczór w ich domu nad rzeką, który stał niedaleko klasztornego zaułka. Tym razem przestrzeń dzieląca ich od dawnego domu, rzeki i ogrodu wydała się ogromna.

Wiedzieli też, że zaraz po dzwonku odezwą się organy.

– Trudno – powiedział ojciec. – Ale i te metryki... takie jakieś nowe, nieprawdziwe... Czy pani sądzi, że można się nimi posługiwać?

– Panie doktorze – odrzekła zaufana osoba – metryki nie są po to, żeby je pokazywać. Jak przychodzi do pokazywania, to znaczy, że jest bardzo źle.

Ojciec nie odpowiedział, wyjął z kieszeni kopertę z pieniędzmi. W klasztorze grały już organy. Zaufana osoba przeżegnała się, nakreśliła na czołach dziewcząt znak krzyża, po czym wyjęła z torebki dwa blaszane medaliki z Matką Boską i zawiesiła im na szyi.

*

Nikt z nas nie myślał wtedy o podróży, a jednak chwili, która jest jej właściwym początkiem, wtóruje głucho dudnienie kół pociągu i gwizd parowozu przecina nocną ciszę. Do niedawna nikt z nas nie wiedział, że odgłosy stacji kolejowej, odległej o trzy kilometry, słychać w miasteczku tak wyraźnie, gdyż wszystkie pociągi zwykły były przyjeżdżać i odjeżdżać za dnia. To nowy czas przyniósł ze sobą odjazdy nocne, nieobjęte żadnym rozkładem jazdy, a nocna cisza wydobyła owe gwizdy i stłumiony, podziemny jak gdyby stukot kół.

Za każdym razem staliśmy na ganku, czekając sygnałów. Po raz pierwszy zdarzyło się to wczesną wiosną, staliśmy w głośnym bełkocie wezbranej wody – gdyż właśnie tej nocy ruszyła na rzece kra – i w mokrych od leżenia na ziemi płaszczach, odwagi nam brakło, by wejść do domu, usiąść przy stole, położyć się na łóżku, wrócić do normalnych codziennych czynności. Wtedy nagle zaskoczył nas gwizd. Wysłuchaliśmy go w milczeniu, słabł, cichł, a wraz z nim słabło i cichło dudnienie ziemi. Kiedy na powrót wróciła cisza, wiadomo już było, że pociąg nabrał rozpędu i wjechał w las. Tej nocy zabrano starców, chorych i kaleki.

A potem za każdym razem czekaliśmy świadomie na gwizd i dudnienie, zawsze stojąc na ganku od strony rzeki, której nie było już słychać, gdyż była to najpierw późna wiosna, potem wczesne lato, a jeszcze potem pełnia lata i rzeka płynęła leniwie, w milczeniu. Słychać było tylko rechot żab i szum topoli rosnących na brzegu.

U schyłku lata staliśmy tam ostatni raz. W altanie bżów łomotały na wietrze drzwi gołębnika i bieląla oparta o ścianę drabina, którą ciotka zapomniała wciągnąć do wnętrza lub powalić na ziemię.

Siedząc w ukryciu, słyszeliśmy głośnie *raus* i *los*, i kroki ciężkie, głośnie, a wśród nich drobne, biegnące truchcikiem kroki ciotki Sabiny i jej córki Berty. Zabrali je wczesnym rankiem. Dlaczego biegnąc z nami, nagle skręciły ku altanie bzów, z ukrytym w jej liliowym wnętrzu gołębnikiem bez gołębi? Na to pytanie nikt nie odpowie. Ja także nie wiem, dlaczego nie pobiegłam za Natanem na Ostbahn; chwyciłam łopatę, narzędzie naszej pracy, ale natychmiast cisnęłam ją w kąt i nie na Ostbahn pobiegłam, ale za wołaniem „do chlewa, do chlewa”, choć wiedziałam, że chlew ten, będący tylko z nazwy chlewem, nie posiada drzwi i dla każdego otworem stoi – jest więc pomieszczeniem na schowek całkowicie nieprzydatnym. Biegnąc, widziałam, jak wuj ciągnął z sadu na wpół uschłą jabłonkę i jak tym szkieletem drzewa zasłonił otwór wejścia. Zanim wczołgałam się do wnętrza, spojrzałam za siebie: ogród stał w blaskach i cieniach, wilgotny od rosy, cały lśniący.

Tym razem otoczyli miasto cichaczem, stosując odmienną niż zwykle technikę oblężenia – wkraczali przez pola, łąki i ogrody, chytrze, znienacka, odcinając w ten sposób drogi ratunku do wsi i w lasy. Ojciec opowiadał potem, że zbudziło go szczekanie psa, więc wstał z łóżka i podszedł do okna. Pies stał przed budą z zadartą ku górze głową i wydawał krótkie, ostrzegawcze szczeknięcia.

Krajobraz za oknem leżał cichy i spokojny, taki sam jak zawsze: podwórze płaskie, bez tajemnic, już oświetlone pierwszym słońcem, niżej sad w głębokim jeszcze cieniu, a nad sadem strome zbocze zamkowego wzgórza. Pies przestał szczekać, wlaźł do budy i nic teraz nie mąciło ciszy, ale ojciec nie ruszał się z miejsca, stał jak przygwożdżony, opowiadał potem, że niepokój wzbierał w nim gwałtownie, niby bez przyczyny, mówił, że bał się odejść od okna, by nie przeoczyć chwili, w której przyczyna jego niepokoju nagle się ujawni, biegł wzrokiem po krajobrazie i szukał. Była godzina pierwszego śpiewu ptactwa, niebo różowiało. Przeszukawszy podwórze, zszedł wzrokiem pomiędzy drzewa sadu, stały w wysokiej trawie nieruchome, jak malowane, żąd-

nego ostrzeżenia, żadnego znaku, nic... – Może tylko – opowiadał – krzywa gałąź wiśni rosnącej przy ścieżce, może ona jedna... – bo nagle pomyślał, że wygląda jak ramię zagradzające drogę niepowołanym. A nigdy tak nie wyglądała. Potem dotarł alejką porzeczkową na brzeg rzeki, skoczył wzrokiem wzwyż, na zamkowe wzgórze i ujrzał, że obsiadły je wielkie, ruchliwe mrówki. To tyraliera *Einsatzkommando* zsuwała się po stromiźnie w dół, ku rzece i ogrodom. Wtedy krzyknął, a jego krzyk obudził nas wszystkich.

Zbliżali się bezszelestnie, ich kroki tłumiała trawa, dopiero gdy weszli na podwórze, zadudniły po twardym klepisku ziemi, a potem na schodach ganku i ucichły. Dwa krótkie okrzyki dobiegły nas z wnętrza domu, brzęk tłuczonego szkła i trzaśnięcie drzwi, myśleliśmy, że przeszukawszy dom, poszli dalej, ale nie, ich kroki wróciły na podwórze, ich głosy kazały Agafii otwierać drewniane i komórki, zbliżali się ku nam, strzeżonym przez na wpół uschłe drzewo, a kiedy weszli do ostatniej komórki, mieliśmy ich tuż nad głowami, starczyło spojrzenia na podłogę z nieszczelnie zbitych desek, by ujrzeć siedzących na słomie.

Jeden zeskoczył z wysokiego stopnia i stanął przed na wpół uschłą jabłonką, a drugi spytał: *was ist denn dort*, i wtedy poprzez gałęzie drzewa wysunęła się ku nam biała wąska dłoń i kawał ramienia odzianego w mundur. Ciotka Stefania przytknęła palec do ust, jak gdyby się bała, że ktoś z nas krzyknie, i trzymała go jeszcze długo potem, jak oni odeszli. Odchodząc, spostrzegli stojącą pod gołębnikiem drabinę.

Los Natana był nam jeszcze nieznany, myśleliśmy, że pracuje, bezpieczny, przy budowie kolejowego toru, ale w południe przyszła Agafia i pochyłona nad szparą w podłodze komórki, powiedziała nam. Zdążył zaledwie przebiec naszą zaciszną uliczkę. Schwytyany został w sposób łagodny, łagodnymi słowami, *komm, komm, du Kleiner*, powiedział esesman, wychodząc zza węgła domu, i Agafia, która nie znała niemieckiego, powtórzyła wyraźnie, *komm, komm, du Kleiner*, tak jak jej to powiedział naoczny świadek chwili schwywania.

O ojcu wieści zadnych nie było. Wyszedł rankiem z domu ostatni, gwałtownym ruchem wciągając na ramię opaskę z napisem *Arzt*, wołał, że idzie do ambulatorium, twarz miał wzburzoną, zapamiętałam: nie było w niej strachu, tylko gniew.

Czas mijał w wielkiej ciszy, bez kroków, bez głosów, chyba że był to stłumiony, przez szparę idący głos Agafii, informującej o tym, co się w mieście dzieje. Informacje jej dotyczyły jedynie rozmiarów wydarzeń i tym razem ona, z taką lubością okraszająca każdą wieść szczegółami, ograniczyła się do dwóch tylko słów, jak gdyby to, co widziała lub o czym słyszała, zniweczyło w niej narracyjne zdolności. – Mrowie narodu – szeptała przez szparę i odchodziła, by za godzinę powrócić i powtórzyć te same słowa.

Tak więc ten dzień najdłuższej i najstraszniejszej akcji upływał w ciszy. Tylko raz jeden, już pod wieczór, doleciał nas głos sąsiadki wołającej swego brata: – Wojtek, gdzie ty się podziewasz – I w odpowiedzi głos Wojciecha dochodzący z daleka, znad rzeki: – Zaraz... zaraz przyjdę... – Leżał tam pewnie pod topolą, jak to mieliśmy niedługo w zwyczaju. Tylko te dwa głosy.

Mysleliśmy, że po zachodzie słońca Agafia uwolni nas z chlewa, ale nie uczyniła tego, akcja, rozpoczęta o świcie, trwała wciąż jeszcze. Ciemno już było, gdy opuściliśmy schron. Podwórze, rankiem białe od wschodzącego słońca, było teraz białe od księżyca. Na ganku czekał ojciec ze wzburzoną, gniewną twarzą. Później, w środku nocy opowie, jak przeżył. Jak go złapali i jak uciekł. Jak żona przyjaciela, wsparłszy się ramionami o futryny drzwi, w ten wymowny, niewymagający słów sposób wzbroniła mu wejścia. Jak para starszków – pacjentów – ukryła go na strychu. To wszystko opowie w środku nocy.

Stoimy na ganku. Uliczka rozbrzmiewa zdyszonym krokiem ocalałych, ale kroki biegnących nie zatrzymują się przed naszym domem. Wiemy: nie wróci ciotka Sabina i jej córka Berta, nie wróci kuzyn Natan. Nie na nich czekamy, ale na ostatni znak, jaki nam prześlą – na

gwizd i dudnienie, które za chwilę dobiegną z ciemności. – Mrowie narodu – powtarza Agafia i odmawia litanii nazwisk.

W środku nocy przyszedł ojciec do naszego pokoju, gdzie leżałyśmy ubrane na zasłanych łózkach. Noc była wietrzna, za oknem, w altanie bzów łomotały drzwi gołębnika.

– Dzieci – powiedział – musimy się ratować. Szybko.

Już nieraz była o ratunku mowa, ale to było tylko mówienie. Tym razem – czułam wyraźnie – decyzja zapadła.

*

Kiedy nieoczekiwanie wyłoniła się możliwość dalekiej podróży, co zdarzyło się równie niespodziewanie, jak przypadkowo – ojciec zaprzestał szukania schronu u chłopów na wsi i zwrócił się do pani Kasińskiej o pomoc w uzyskaniu aryjskich papierów. Pani Kasińska, osoba energiczna, mająca rozległe kontakty, przysłała do nas w piękny dzień wczesnej jesieni. W ogrodzie sąsiadów zrywano akurat jabłka. Ojciec zamknął się z nią w gabinecie, a my, czekając, aż skończy wstępną rozmowę z gościem, przypatrywałyśmy się ogrodowym czynnościom, które były nam dobrze znane, a których ceregiele i zwyczaje wydały nam się teraz dziwne, by nie rzec: komiczne. Niemniej patrzyłyśmy na nie chciwie, z zazdrością w sercu i z żalem oderwałyśmy się od patrzenia, gdy rozległ się głos wzywający nas do naszego świata i naszych spraw.

Niechętnie podniosłyśmy się ze schodków ganku, skąd widać było w całej okazałości zielone sady, czerwone jabłka, wzorzyste kłomby, a wszystko to skąpane w złotym słońcu. Co prawda gabinet ojca był również pełen słońca, ale było to inne słońce, przygaste i szare. W smudze przecinającej pokój wirowały drobniutkie pyłki kurzu, rzadko kiedy sprzątano gruntownie w tym nieużytecznym teraz pomieszczeniu i tylko zapach eteru i lekarstw pozostał ten sam co dawniej. Słońce leżało na rozłożystej bibliotece i książkach, z których czerpałyśmy niegdyś wiedzę, oraz na rozłożystej pani Kasińskiej,

która w sukni kwiecistej jak łąka i w złotych loczkach na głowie siedziała w fotelu i paliła papierosa.

– Ależ one mają świetny wygląd, świetny – zawołała na nasz widok – po prostu nieoceniony!

Ojciec zdawał się nie podzielać entuzjazmu gościa. Siedział za biurkiem wyprostowany, z uniesioną wysoko siwą głową, jedną nogę założył na drugą, a więc siedział w pozie swobodnej, jakby to nie on był szukającym pomocy, ale natychmiast wyczułam, że jest to na niby, a nie prawdziwie swobodna poza, podobnie jak uprzejmy uśmiech na jego twarzy był tylko z pozoru uprzejmym uśmiechem. Miał twarz napiętą, zacerwienioną, a wzrok bardziej niż zwykle niebieski.

– Pani zgodziła się zająć sprawą metryk i kenkart – zwrócił się do nas nie swoim, lekko ochryplym głosem.

W różowej muszli-popielniczce piętrzył się stos niedopałków. W dzieciństwie często przykładaliśmy tę muszlę do ucha, nasłuchując szumu jej rodzinnego, południowego morza.

– Mają wspaniały wygląd – Jeszcze raz powtórzyła swój okrzyk pani Kasińska, co było o tyle dziwne, że znała nas przecież od lat i doskonale wiedziała, jak wyglądamy. Ale ledwie zdążyłam się zdziwić, już zrozumiałam: dawne i obecne spojrzenia widziały i n a c z e j i i n a c z e j oceniały te same zjawiska. Pani Kasińska nigdy nie patrzyła na nas w ten sposób co dzisiaj, tak jak ja nigdy nie patrzyłam na zrywanie owoców tym samym co przed chwilą spojrzeniem.

– Najważniejszy jest pośpiech – powiedział ojciec. – Pani musi zrozumieć: czas jest naszym wrogiem... Musimy się spieszyć, i tak zwlekaliśmy zbyt długo...

– Rozumiem to doskonale – przytaknęła z uśmiechem, ale jasne było, że rozumiała to na swój, a nie na nasz sposób. Bo i skąd mogła wiedzieć, o jaki czas tu chodzi?

– No to wybierzcie sobie teraz nazwiska – powiedział do nas ojciec.

Takim samym tonem mówił dawniej w cukierni: no to wybierzcie sobie teraz ciastka... Jego palce zabębniły po zielonym suknie biurka, mięsień policzka drgnął raz i drugi.

Stałyśmy pod piecem z brązowych kafli, naprzeciwko okna, przez które widać było wąską alejkę, zwaną przez nas aleją lekarskiego bzu, gdyż zamykała ją ściana krzewów, które nazywa się lekarskim bzem.

Tuż za alejką, zarośniętą i dziką, stał dom drugich sąsiadów – pusty i wymarły po wielkiej akcji. Otwarte okna odsłaniały czarne, milczące wnętrza. Przypomniała mi się nagle piękna, smagła dziewczyna, która tam mieszkała. Odwróciłam głowę od okna, żeby skupić się na wyborze nazwiska, ale stało się tak, że żadnego nie mogłam sobie przypomnieć, choć tak wiele ich znałam i wszystkie były do wyboru, nie mówiąc już o tym, że można je było samemu stworzyć przez dodanie odpowiedniej końcówki. A kiedy z wysiłkiem przywołałam kilka na myśl, okazało się, że nie każde z nich przylega do mnie, a ja do niego, niektóre zaś z niewiadomych przyczyn budziły wręcz sprzeciw i czułam, że mogłyby mi zaszkodzić.

Ojciec niecierpliwił się, nie rozumiejąc naszej opieszałości, bo i Elżbieta marudziła, prawdopodobnie z tego samego co i ja powodu. Ale to jednak ona zdecydowała się pierwsza i powiedziała: – Elżbieta Stefańska.

– Wspaniale! – ucieszyła się pani Kasińska.

Ojciec szybkim ruchem podsunął jej papierośnicę i podał ogień. Spojrzał surowo na mnie:

– No, co z tobą?...

Raz jeszcze przedefiniował przede mną długi korowód nazwisk, miały mnie obojętnie, aż wreszcie jedno zawahało się i stanęło przy mnie. – Katarzyna Majewska – powiedziałam i natychmiast tę Katarzynę zobaczyłam. Miała jasne, gładkie włosy i lśniącą, świeżą cerę. Moje włosy były jasne, skręcone w gęste loki, moja twarz szara.

Pani Kasińska uniosła się z fotela. Teraz ona stała naprzeciwko milczących okien naszych sąsiadów, których widocznie znała, gdyż spytała, co u nich słychać. Ojciec odpowiedział.

– I ta smągła, piękna córka także?

– Także.

– Na plaży wyglądała jak egipski posążek.

Wtedy zza krzewów lekarskiego bzu usłyszałam po raz drugi okrzyk jej matki:

– I co z tego, że taka piękna?! Co jej z tego? To jest przeklęta piękność... Oby była krostowata i garbata, ale jasna, z prostym nosem...

Odprowadziliśmy panią Kasińską do furtki. W uliczce stał już cień. Słońce zaszło, pachniały ogrody. W domu sąsiadów, którzy przedtem zrywali jabłka, paliło się już światło. Sąsiadka spokojnym, okrągłym ruchem zmywała w kuchni talerze. Długo na nią patrzyłam.

✧

Nazajutrz wybrałyśmy się do fotografa, żeby zrobić zdjęcia do kenkarty. Był to pierwszy i nieodzowny krok, gdyż bez specjalnych zdjęć, na których – według słów pani Kasińskiej – głowa zwrócona być miała nieco w prawo, tak by uwidocznic lewe ucho, nie można było rozpocząć starań o papiery.

Tylko jeden fotograf wchodził w rachubę, ten, który nas zawsze fotografował, do innych nie mieliśmy zaufania. Mogliby donieść lub rozgłosić nasze zamiary.

Ubrałyśmy się w białe bluzki, żeby wyglądać wesoło, a na bluzki włożyłyśmy stare swetry, żeby tę wesołość przyćmić, gdyż wstyd nam było paradować w wesołym ubraniu. Omijając śródmieście, poszłyśmy dróżką nadrzeczną, naszą ulubioną. Na brzegu rzeki rosły wierzby. Dróżka ta nie straciła ani źdźbła swej urody i to nas trochę zabolalo. Elżbieta powiedziała: – Popatrz, a tutaj jest wciąż tak ładnie...

W trawie grały świerszcze, z wierzb zwisały długie, miękkie bażki. Pod jedną z płaczących wierzb siedziała grupka dziewcząt, naszych

szkolnych koleżanek. Czytały jakieś listy. Na nasz widok uniosły głowy i spytały: – Dokąd idziecie – na spacer? – ale żadna z nich nie powiedziała, żebyśmy przy nich usiadły. Może było im wstyd? Może było im przykro? Może nie miałyby z nami o czym rozmawiać? Myślały zapewne: szkoda, że je wkrótce wykończą...

Domek fotografa zamknięty był na cztery spusty, powój obrósł ściany dzikim gąszczem, podwórze zarosło trawą. Wyglądało tak, jakby nikt tu nie mieszkał. Ale kiedy zapukałyśmy, drzwi otworzyły się natychmiast, na progu stała żona fotografa, chuda, z rozpuszczonymi włosami. Spojrzała na nas jak na zjawy. Na pytanie, czy możemy wejść, skinęła głową, wciąż z wyrazem wielkiego zdumienia w oczach. Aparaty fotograficzne stały w kącie pustego pokoju, okryte ceratowymi płachtami, zakurzone – przypominały stare, zdychające szkapy. Na podłodze siedziało małe dziecko. Fotograf, jego żona i małe dziecko nie spuszczały z nas wzroku. Elżbieta powiedziała szeptem: – Ja nie mogę... – i chciała odejść, ale ją zatrzymałam. Fotograf o nic nie spytał, nastawił aparat, usiadłam tak, żeby lewe ucho było widoczne, otworzyłam usta do śmiechu, a żona fotografa, bawiąc się długimi włosami, mówiła: – Teściową zabili po drodze, chciała uciekać... Myślę, że tak dla niej lepiej... Jak pani myśli?

Fotograf pstryknął, powiedział: – Na szczęście. – Dziękujemy panu – odpowiedziałyśmy grzecznie, a on jeszcze raz powtórzył: – Na szczęście – żebyśmy dobrze zrozumiały, jakiego szczęścia nam życzy.

*

Stoję w oknie. Przedemną puste getto, uliczki kręte, kamieniste jak wyschłe łożyska górskich strumieni, koślawe pniaczki kocich łbów, parterowe domy bielone wapnem, okienka małe, kwadratowe, tuż nad ziemią. Większość domów opieczętowana, drzwi zabite na amen. Za drutem opasującym getto wznoszą się wzgórza miejskiego śmietnika, a jeszcze dalej stoją rozlewiska rzeki porośnięte trzciną. Zielień, tak bujna w górnym mieście, urywa się na placu przed dawnym